



Andrzej Osiak

365
OKRUCHÓW
DNIA

—
POEZJA

ANDRZEJ OSIĄK
NA GRANICY LODU

**Asi
Ani
Beacie,
Anicie
i Tej, która przyjdzie**

Autor **poświęcam**

Wiersz zamiast wstępu

Nie zaczynam od obietnic, tylko od kroku jednego,
Od chwili, co mignęła, by nie zniknąć bez śladu.
Widok, zdanie lub twarz, zapach świtu w powietrzu,
Co prosił, by go zabrać, zanim rozplynie się dzień.

Ten tomik nie jest planem ani mapą na przyszłość,
Jest zapisem uważnym tego, co było po drodze.
Zanim dzień w wieczór spłynął, a myśl ucichła w ciszy,
Zbieram to, co się zdarza, nie pytając o sens.

Życie nie czeka nigdy, aż staniemy gotowi,
Inspiracje przychodzą i gasną bez pożegnania.
Nie zatrzymuję się długo, nie nazywam wszystkiego,
Biorę to, co jest teraz, i pozwalam iść dalej.
Nie wszystko chce być jasne ani prosi o wybór,

Nie wszystko domaga się decyzji i słów.
Czasem wystarczy spojrzeć i zapisać istnienie,
Pozwolić, by zostało, choćby tylko na chwilę.
To nie jest zbiór odpowiedzi ani prawd ostatecznych,
To ślad dni, które były — i już nie powrócą.

Trzysta sześćdziesiąt pięć prób bycia tu i teraz,
Zanim okaże się nagle, że było ich mniej.
Piszę, mówię i nagrywam, by nie zgubić chwil,
Czasem wierszem, czasem głosem zapisanym w drodze.

Miasto, góry i lasy, zmęczenie i zachwyt,
Śnieg pod stopą, cisza po rozmowie bez słów.
Interesuje mnie poranek i powrót do domu,
Ciepło, które zostaje, gdy dzień już się kończy.

Nie szukam definicji ani prostych wyjaśnień,
Bardziej obecności niż znaczeń i nazw.
To miejsce jest pamięcią i próbą ocalenia
Myśli, obrazów, spotkań i cichych pragnień.
Czytam głośno to, co było zapisane po drodze,

W samotności i bliskości, w ruchu i w bezruchu.
Jeśli coś z tego zostanie, to znaczy: wystarczy.
Jeśli coś zniknie — w porządku, tak miało się stać.
Najważniejsze, że przez chwilę było prawdziwe,
I że ktoś je zauważył, zanim zgasł jego ślad.

STOK

Weszliśmy na stok cicho, jakby mimochodem,
A ziemia przyjęła nas miękko i w sen.
Zaległa w nas nagle, jak dom po powrocie,
Jak strumień, co pamięta swój pierwotny bieg.

Grunť ciągnął nas ścieżką ukrytą pod ciałem,
Wchodził w nas powoli, ucząc tracić kształt.
Trawa i dziki kwiat nad nami się wznoszą,
Niosąc swą wolność — obcą ludzkim miarom.

Tu kruchość nie boli, jest tylko oddechem,

Cieniem liścia, co drży na nagiej skórze.
Ruda ziemia pachnie jak obietnica ciszy,
A niebo prześwituje myślą bez słów.

Krew dzikiego goździka płonie bardzo cicho,
Jakby chciała zapytać, jak daleko nam.
Wstajemy powoli, zostawiając w trawie
Najczystsze z kształtów — odciski naszych ciał.

DUCZKI

W Duczkach Czarna płynie jak myśl niedopowiedziana,
A wieś trwa cicho w cieniu własnych lat.
W aptecznym oknie gest i słowo są lekkie,
Jakby dzień chciał pomoc samemu sobie.

Miasto oddycha gdzieś dalej, za linią pol,
Tu spokój osiada na sercu jak mgła.
Duczki — tak małe, że niemal przeźroczyste,
A jednak mieszczą pamięć i chwilę obecną.
I każdy, kto przejdzie,
Zostawia tu część swojego pośpiechu.

Stary czekan

Leży na strychu. Zardzewiały.
Jakby spał po długiej drodze.
Ma ułamany ząb i pamięta chłód, który nie bolał —

tylko uczył oddychać. Były noce pod pałatką, cienkie jak sen.

Był wiatr,
który mówił obcym językiem.
Była lina w dłoniach i świt,
co przychodził bez obietnic.
Dotykał chmur,
choć one o tym nie wiedziały.
Znał kamień,
lód
i milczenie szczelin.
Teraz milczy sam.
Nie idzie już w góry.
Ale góry
jeszcze o nim wiedzą.

Idzie człowiek przez mrok

Idzie człowiek przez mrok — nie po drogę, lecz po sens;
Księżyc, jak myśl niedopowiedziana, milczy w tle zdarzeń.

Cień jego pyta: kim jesteś, gdy światło nie chce znać;
A śnieg odpowie ciszą — bo prawda nie krzyczy.

Nie noc jest ciemna to wzrok przywykł do pol-znaczeń,
I krok się chwieje nie od zimna, lecz od myśli.

Bo tylko ten, kto idzie, choć nie widzi celu,
Dochodzi — nie do miejsca — lecz do własnej miary.

Z Radomia do Mąchocic Kapitulnych

Z Radomia wyszli — nie z miasta, lecz z jego pamięci;
Z bruku, co zna ciężar stop i lżejszy ciężar sumień.
Spod wież katedry, gdzie modlitwa nie potrzebuje głosu,
Bo echo wie, komu odpowiada cisza.

Święty Wacław patrzył długo z progu dawnej świątyni,
Jakby sprawdzał, czy idą z prośbą, czy z pytaniem.
Bo pielgrzym nie zawsze wie, czego szuka —
Częściej wie tylko, czego nie chce już nieść.

Minęli Rynek — kamień uczy cierpliwości historii,
Tu słowo było walutą, a obietnica ciężarem.
Zamek Kazimierza trwał w ruinie, lecz nie w zapomnieniu,
Bo prawo, raz wypowiedziane, nie umiera z murem.

Ratusz został w tyle — miara czasu zmieniła rytm,
Godzina przestała rządzić, gdy pacierz wrócił na miejsce.
Resursa milczała — rozmowa skończyła się wcześniej,
Bo droga nie znosi nadmiaru słów.

Szli wolniej — nie z braku sił, lecz z nadmiaru myśli;
Każdy krok był zdaniem, którego nie trzeba domykać.
Nie byli tłumem — raczej jednym pytaniem rozciągniętym,
Które oddycha między „było” a „będzie”.

Miasto ustępowało polu, pole — oddechowi,
A oddech przypominał, że ciało też się modli.
Bo pielgrzymka to nie ucieczka od świata,
Lecz próba zobaczenia go bez pośpiechu.

I gdy Mąchocice weszły nie jak punkt, lecz jak sens,
Nie cel był nagrodą — lecz droga, która zmieniła ludzi.
Wrócą innymi — choć twarze zostaną te same,
Bo nie miejsce się święci — lecz krok, który tam prowadzi.

Dopiero dzień się budzi

Dopiero dzień się budzi, a my w górę idziemy,
Zmęczone nogi niosą ku łąkom, gdzie się zgubimy.
Zieleń przed nami wstaje, łaskawa i gościnna,
Jakby szeptem witała nas o porze jeszcze wczesnej.

Po długiej, ciężkiej drodze, w gorze kroki stawiamy,
Na szczycie, w miejscu ciszy, spokój wnet odnajdujemy
sami.

Kobiety pod kasztanami już plotkują w cieniu,
Rozkładają jadalno proste, drżą liście w lekkim wietrze.

A wzrok co chwilę spada ku równinie dalekiej,
Gdzie upał gorący wzmaga się i gotuje Kielce wciąż dalekie.

Latanie

Po długich marzeniach nagle odkrywacie,
Że umiecie latać — wolność w sercu macie.
Najpierw w pokoju badacie swe granice,
Sufit i żyrandol są na wyciągnięcie.

Potem o poranku, gdy ludzi tak mało,
Przez okno wylatujecie — światło się stało.
Dachy i anteny zostają pod stopą,
Miasto się rozciąga jak mapa pod dłonią.

Nad górami, lasami, nad morzem bez kresu
Roztacza się przestrzeń bez miary i stresu.
Widoki szerokie, niewysłowionej mocy
Wolność, co nie mieści się w ścianach ani w nocy.

Lecz wieczór przychodzi — zmęczenie i chłód,
Wracacie do pokoju, gdzie czeka was cud:
Koszmar powracający w każdej sennej chwili,
Że idziecie po ziemi, jakbyście nie śnili.

I to jest straszniejsze niż wysokość i wiatr —
Nie moc się wznieść więcej, gdy zna się już start.

Biały koń

Biały koń po klepisku wdowca wolno stapał,
Jakby ziemia pamiętała więcej niż ludzie.
Mężczyzna sięgnął ręką — niepewną, osłabłą —
I czarną chustę związał tam, gdzie bywa sznur.

Nie po to, by kończyć — lecz by smutek podzielić,
Bo są ciężary, których nie wolno samotnie.
Wtedy żrebak zarżał — głośniejszy niż potrzeba,
Jakby wołał to, co w nim jeszcze nie umarło.

Wspomnił strumień srebrzysty i dłoń pochyloną,
I jazdy bez uzdy po górach i lasach,
Gdy pani była ruchem, a nie wspomnieniem,
A świat nie pytał jeszcze o cenę trwania.

Teraz koń bez rozkazu wciąż niesie istnienie,
A wdowiec okrywa go własnym milczeniem,
Pragnąc, by w skoku, w parze, w chwilowym uniesieniu
Ubyło mu choć tyle, ile waży samotność.

Przed świtem na Kopieńcu

Nie z nadmiaru hojności powstał ten wysoki świat,
Lecz jakby przez roztargnienie Bóg dopisał jeden ślad.
Gdy noc już się cofała spod granitowych bram,
Dorzucił świt jak obietnicę — i zostawił sam.

Z Kopieńca, z Gutka, zanim obudził się dzień,
Słońce wystrzeliło nagle, rozcinając cień.
Stoki zapłonęły ogniem, mrok ustąpił w dal,
Jakby góra sama wołała: trwaj, człowieku, trwaj.

Sobota wstała cicho — czas stanął na próg,
Poranek wciągnął w płuca chłód i życiodajny trud.
Fontanna ptaków trysnęła z kosodrzewin i skał,
Las przemówił skrzydłem, a wiatr odpowiedział: stań.

Pierwszy wędrowiec wyszedł na kamienisty szlak,
Nie po chwałę ani sławę — lecz po własny znak.
I w ciszy, która waży więcej niż tysiąc słów,

Czekan w kamień przemówił: jestem — idź, idź znów.

Bo góry nie są darem z łatwej łaski dnia,
Są próbą, są milczeniem, są miarą człowieka.
Kto stanie wobec świtu i nie cofnie krok,
Ten wyniesie z wysokości więcej niż sam wzrok.

Jesteś nade mną

słoność twojej skóry rozlewa noc, włosy wirują wodorostami,
ciężkie od morza, ciężkie od ciemności.
Każde muśnięcie rzęsą, każdy dotyk palcem przewraca
nieboskłon, zgina go, skręca,
wiruje w łuki —
świat drży i jęczy razem z twoim ciałem.
Gwiazdy nie wytrzymują — spadają, trzaskają, wybuchają,
iskry sypią się z sykiem do
wod, a morze odbija ich krzyk,
falując, wirując,
jakbyśmy byli w środku burzy, w samym sercu snu.
Opadasz na mnie w ekstazie — całym ciężarem,
i wszystko: niebo, gwiazdy, wodorosty, nasze ciała zapada się
w mięką, cichą otchłań.
Noc wchłania nas bez reszty, czas topnieje,
świat staje się jednym tchem, jednym ciałem,
jednym snem.

Pieśń o wędrującym oscypeku

Oscypek ruszył w drogę — nie z baczówki wprost,
Lecz z dłoni do plecaka, z ognia w chłód poranka.

Znał dym, znał sol i ciężar ciszy między ludźmi,
I wiedział, że wędrowka nie pyta o cel.

Nióśł na skórze ślady palców i ogniska,
Jak człowiek niesie znaki dawnych rozmów.
Nie mówił nic — lecz milczał bardzo wyraźnie,
Bo ser też potrafi pamiętać dotyk.

Przechodził przez hale, doliny i stoły,
Był dzielony nożem jak los na kawałki.
Jednym smakował domem, innym drogą,
Jeszcze innym — prostą chwilą bez słów.

W kieszeni kurtki słuchał, jak bije serce,
Jak kroki liczą czas zamiast zegara.
Topniał powoli — jak topnieje człowiek,
Gdy oddaje siebie, nie pytając o zwrot.

Nie wrócił cały — jak nikt, kto wędruje,
Lecz został w śmiechu, chlebie i rozmowie.
I tylko dym nad ogniem wie na pewno,
Że oscypek też był kiedyś w drodze.

Pieśń o oscypku — przyjacielu wędrowców

Gdy nogi cięższe są od myśli po całym dniu,
A droga dłuży się bardziej niż powinna,
Wyciągasz z plecaka oscypek — zwyczajnie,
Jakbyś wyciągał sens, a nie tylko jedzenie.

Nie leczy wszystkiego, lecz leczy to, co trzeba:
Zmęczenie rozmowy, chłód w środku człowieka.
Sol przywraca pion, dym uspokaja myśli,
A prosty smak przypomina, że świat jest blisko.

Oscypek zna ręce, które go robiły w ciszy,
Zna ogień i czas, i cierpliwe czekanie.
Dlatego pomaga tym, którzy idą długo
I nie pytają już, dokąd — tylko czy dalej.

Dzielony nożem staje się rozmową,
Każdy kawałek skraca dystans między ludźmi.
Nie pyta, kto skąd jest ani po co wędruje —
Wystarczy, że przysiadł przy tym samym ogniu.

Na ból kolan, na zwątpienie i na ciszę,
Na dzień, który był cięższy niż plecak,
Na chwilę, gdy człowiek myśli, że nie warto —
Oscypek działa wolno, ale skutecznie.

Bo są takie lekarstwa, które nie mają nazw,
Nie stoją w aptekach i nie obiecują cudów.
One po prostu są — jak chleb, ogień i droga,
I pomagają iść jeszcze kawałek.

Puste góry

Tyle gór, suchą sierścią traw przykrytych szczelnie
po co aż tyle Bogu tej milczącej ziemi?
Mgła po nich się snuje jak senny maruder, nie pilnuje granic,
nie strzeże imienia.
Puste góry — po co ich tak wiele człowiekowi, który gubi
sens nawet na krótkiej drodze?
Tyle przestrzeni, gdzie głos nie ma odbiorcy, a echo wraca
późno i nie niesie ulgi.
I tam rozłożył Bóg swe przykazania cicho — nie na kartach
ksiąg, nie w blasku
objawienia,
lecz na tablicach skał i zimnych kamieni, we wszystkich
językach świata jednocześnie.
Tu cisza jest tak gęsta, że nie sposób przejść, nie poruszając
ciężaru własnej obecności.
Dotkniesz kamienia — a budzisz tysiąc grzmotów, jakby góra
pamiętała każde
naruszenie.
I wtedy właśnie rośnie w tobie samotność — nie z braku
ludzi, nie z pustki rozmowy,
lecz z nadmiaru przestrzeni, która trwa, patrzy — i nie
odpowiada.

Wersja rytmiczna do wspólnego zdjęcia

Stajemy razem, śnieg pod nogami,
banery w gorze, uśmiechy z nami!
Radostowa i Wymyślona patrzą na nas z góry,

Lubrzanka mruczy w dolinie jak stare opowieści.
Warszawa, Łodzi, Radom i Ostrowiec,
Nowy Sącz – wszyscy w jednym rytmie, jednym ton.
Kroki, śmiech, ognisko i przygoda –
niech fotografia będzie legendą i wspólną opowieścią!

Autobus do Mąchocic

Kielce są Katmandu z betonu i szkła,
autobus rusza — wyprawa się zaczyna.
Kasownik jak pieczęć, bilet jak los,
kto wsiadł, ten idzie, nie pyta już o powrót.
Miasto zostaje w tyle, cywilizacja topnieje,
droga się wiję jak grań, autobus sapiąc się wspina.
Przystanki to obozy — jedni odpadają,
inni wchodzą świeży, jeszcze nie wiedzą, co ich czeka.
A kierowca jak Szerpa — spokojny, skupiony,
zna każdy zakręt, każdy metr wysokości.
Nie gada dużo, ale dowozi żywych —
na takich ludziach stoją wyprawy i legendy.
Mąchocice Kapitulne.
Tu nie kończy się trasa —
tu zaczyna się mit.

Na szlaku zimy

Świt nad Łysicą, mróz szczypie w twarz,
para z ust, a przed nami szlak.
Las cicho stoi, biały jak sen,
idzie PTT przez zimowy cień.

Hej, Świętokrzyskie, prowadź nas,
przez śnieg i wiatr, przez zimy czas.
Choć mróz pod butem, a noc ma głos,
na wspólnym szlaku jest w nas los.

Kolejny krok i kolejny ślad,
kijki stukają – to marszu takt.
Nie liczy się trud ani chłód,
gdy obok idzie wierny druh.

Hej, Świętokrzyskie, prowadź nas,
przez śnieg i wiatr, przez zimy czas.
Choć mróz pod butem, a noc ma głos,
na wspólnym szlaku jest w nas los.

Przy schronisku światło i śmiech,
herbata parzy, gitara brzmi gdzieś.
Z różnych stron, a jeden cel,
zimowy zlot połączył nas znów.

Hej, Świętokrzyskie, pamiętaj nas,
gdy ślad zasypie kolejny czas.
Bo PTT w drodze, przez mróz i wiatr,
do tych gór wracać będzie wciąż.

Zrobiłaś mi tyle złego

Zrobiłaś mi tyle złego,
że długo nie umiałem nazwać tego po imieniu.
Zawaliłaś mi na głowie mój świat,

ten prosty,
ten poukładany z małych spraw,
z codziennych kroków i ciszy.
Zostałem pod gruzami rzeczy, które miały trwać.
Myśli krążyły w kółko, noc nie przynosiła snu,
a dzień nie dawał odpowiedzi.
Nie potrafię zapomnieć, bo pamięć wraca sama,
w najmniej oczekiwanym momencie.
Nie potrafię wybaczyć,
bo rana wciąż wie, gdzie była zadana.
Może kiedyś czas to wygładzi,
może nauczy mnie obojętności,
ale dziś wiem jedno —
to, co się stało, zostanie ze mną
na dłużej.

Byłaś moim snem.

Byłaś moim snem.
Pragnąłem cię jak powietrza,
jak czegoś, bez czego nie da się iść dalej.
Wierzyłem,
że wystarczy chcieć,
że miłość potrafi unieść wszystko.
A ty nie dałaś mi więcej
niż prawdę —
bolesną,
nagą,
nie do obejścia.
Prawdę,

że nie jesteś godna mojej miłości,
bo nie umiałaś jej przyjąć,
ani jej unieść.
Nie zabrakło mi uczuć,
zabrakło miejsca,
w którym mogłyby zostać.
I to boli najbardziej —
że to, co było we mnie prawdziwe,
nie miało gdzie się zatrzymać.
Dziś uczę się oddychać bez ciebie,
powoli,
niepewnie,
jak po długim zanurzeniu.
wiem,
że sen się skończył,
ale ja wciąż muszę się obudzić.

Marchocice Kapitulne

Machocicee Kapitulne to świętokrzyski raj,
gdzie poranek pachnie lasem, a wieczór ma swój czar.
Tu piękne kobiety, uśmiech jak słońca blask,
a wino słodsze niż madera rozgrzewa każdy czas.

Tu śpiew się niesie po dolinach,
ognisko pali się do dna,
a kto raz trafi w te strony,
ten zawsze wraca — bo tak ma.

Bo Machocicee to nie punkt na mapie,

to chwila, co zostaje w nas,
tu Świętokrzyskie ma swoje serce
i bije rytmem: tu i teraz.

Gdy zima Świętokrzyskie bieli

Gdy zima Świętokrzyskie bieli od świtu,
a las pod stopami cicho skrzypi,
z różnych stron Polski ruszamy znów,
na jeden szlak, na wspólny trud.

To już jedenaste spotkanie
zimy, ogień się pali, śnieg
wciąż lśni, tu stare góry łączą
ludzi,
co drogę noszą w sercu i w myśli.

Refren:

Hej, PTT, dziś razem znów,
przez mróz i wiatr, przez biały
puch.

Niech Świętokrzyskie niosą
głos, że wędrowanie to nasz los.

Świt w Górach Świętokrzyskich

Świt w Górach Świętokrzyskich przychodzi cicho,
jakby bał się obudzić drzewa.
Śnieg skrzypi pod butami –

to rozmowa ziemi z człowiekiem,
krotka, uczciwa, bez świadków.
Idę przez las, który pamięta więcej niż ja.
Sosny pochylają się nisko,
jakby chciały sprawdzić,
czy jeszcze jestem sobą,
czy tylko przechodniem.

W Mącholicach Kapitulnych

W Mącholicach Kapitulnych
czas nie spieszy się nigdzie.
Domy stoją tu jak myśli –
proste, uparte, prawdziwe.

Dym z kominów niesie zapach poranka
i obietnicę ciepła.
Siadam na ławce.

Kawa paruje w zimnym powietrzu,
a dłonie ogrzewają się od kubka
i od myśli, że jestem dokładnie tam,
gdzie powinienem być.

Śnieg nie jest biały.
Ma w sobie błękit, cień i ciszę.
Zamarznięta droga odbija słońce
jak lustro pamięci –
pokazuje więcej, niż bym chciał zapamiętać.

Ognisko trzaska

Ognisko trzaska jak stare historie.

Kiełbasa skwierczy,
a ja topię się w ogniu jak słowo,
którego nie potrafię powiedzieć.

Każde pęknięcie drewna
jest pytaniem bez odpowiedzi.
Jestem kiełbaską nad ogniem,
która chciałaby być wyznaniem,
a zostaje tylko zapachem.

Pękam, tłuszcz syczy,
ogień wie o mnie więcej
niż kobieta, do której milczę.

Śnieg skrzypi

Śnieg skrzypi głośniej,
gdy idziemy razem.
Z sosny sypie się puch anioła,
a ty śmiejesz się krotko,
jakby radość była czymś kruchym
i łatwym do stłuczenia.

Zmarzłaś.

Wracamy do
domu.

Zrzucasz przemoknięte
buty, zimną suknię,

a świat na chwilę wiruje,
jakby sufit miał runąć –
i niech runie.

Lubię patrzeć, jak śpisz

Lubię patrzeć, jak śpisz.
Księżyc złoci twoje włosy
i oświeśla to,
co przed chwilą było moim spełnieniem.
Świat wtedy milczy z szacunku.
Noc podnosi cię do drzwi –
kotka wraca do domu.
Patrzę na ciebie
i pragnę cię znowu,
bo pragnienie nie zna umiaru
ani wdzięczności.

Nie trzeba iść do pracy

Nie trzeba iść do pracy.
Nie trzeba się spieszyć.
Budzi mnie tylko myśl,
że jesteś.
Lubię ten moment,
gdy zapominasz się całkowicie
i opadasz na mnie jak mgła.

Góry Świętokrzyskie nie są wysokie

Góry Świętokrzyskie nie są wysokie.

Dlatego uczą pokory.

Nie krzyczą –
one trwają.

Jak ludzie, którzy zostali,
bo nie mieli dokąd uciec.

Idę dalej.

Śnieg zapisuje mój ślad,
ale wiem, że do wiosny
nic po nim nie zostanie.

Może dlatego piszę –
żeby coś jednak przetrwało.

Rok się kończy

Rok się kończy

i wiele rzeczy we mnie umiera.

Wiele rodzi się na nowo,
choć jeszcze nie ma imion.

Nic nie będzie tak jak dawniej.

Nic nie będzie takie jak wczoraj.

Nie wiem jeszcze,
czy więcej we mnie narodzin,
czy więcej pożegnań.

Może to nie śmierć ani początek,
tylko ruch —

jak błyskawica na czarnym niebie:
na chwilę rozjaśnia wszystko,

a potem zostawia ciszę,
w której trzeba nauczyć się żyć od nowa.

Nie wiem, dokąd to prowadzi

Nie wiem, dokąd to prowadzi.
Wiem tylko, że warto zapisywać.
Rzeczy dzieją się szybko.
Myśli pojawiają się na
chwilę i jeśli ich nie chwycić,
znikają bez śladu.
Ten tomik nie ma celu poza jednym:
zatrzymać to, co mignęło.
Poranek, drogę, zmęczenie,
czyjeś spojrzenie,
moment ciszy.
Nie wszystko musi mieć sens.
Nie wszystko musi zostać.
Wystarczy, że przez chwilę było.
Życie jest krótkie.
Za krótkie na odkładanie,
za krótkie na ciągle zastanawianie się „czy warto”.
Jeśli coś poruszyło — zapisuję.
I idę dalej.
To nie są wiersze o czasie.
To ślady dni.

Ognisko i kielbaska pasji

Ognisko trzaska w zimowej ciszy.

Iskry lecą w niebo.
Kiełbaska w patyku mówi:
„Palę się —
szczęśliwa w tę noc”.
Wokół ludzie.
Pasja wędrowania, śmiech,
zimowy urok.
Nie ma Himalajów.
Nie ma lodospadów.
Każdy krok, każdy śmiech,
każdy płomień
jak mały atak szczytowy.
Kiełbaska pachnie.
Trzask drew.
Mróz szczypie w policzki.
Wędrowcy dzielą się historią,
radością,
pieśnią.
Ogień łśni w oczach.
Serca płoną.
A noc jest długa.

MASŁÓW

Idziemy.
Śnieg skrzypi.
Serca dudnią.
Rzucam kozuch,
ty rzucasz się na niego.
Uniesienie.

Świat znika.
Księżyc — srebrny reflektor —
oświecła nas.
Ona mnie obejmuje.
Czułość i uniesienie.
Twoje rzęsy przecinają niebo.
Gwiazdy zimne jak ciało.
Połowa wisi, połowa spada —
w śnieg, w gwiazdy, w ciebie.
Drzewa gadają,
szepczą martwe.
Tylko echo.
Paznokcie na plecach.
Szramy.
Nie ma ciebie.
Las milczy.
Świat nie potwierdza,
nie zaprzecza.
Na śniegu
ślad.

Tryptyk: Hotel „Przedwiośnie”,

I

Hotel stoi.
Nie przeszkadza.
Nie pyta o imię.
Pole podchodzi pod okno.
Patrzy.

Łóżko czeka.
Nie zaczyna snu.
Pozwala mu przyjść.
Klucz stygnie powoli.
Przedwiośnie zatrzymane
między oddech a decyzję.
Wieś milczy.
Wszystko jest wyraźne.

II

Hotel stoi.
Zdanie techniczne w rozmowie drzew.
Droga biegnie jednym pasem czasu.
Samochód przecina poranek
i znika w zieleni.
Recepcja liczy kroki.
Nie ludzi.
Łóżko — mechanizm snu
dla ciała z pól.
Klucz uruchamia noc.
Bez hałasu.
Przedwiośnie nie pędzi.
Rozruch jest cichy.
Hotel działa,
świat nie musi przyspieszać.

III

Hotel nie przeszkadza.
Wież też nie.
Droga biegnie obok.
Znając swoje miejsce.
Łóżko w pokoju czeka.
Nie zaczyna snu.
Pozwala mu przyjść.
Klucz stygnie powoli.
Pole jest otwarte.
Okno patrzy.
Przedwiośnie nie puka.
Siada obok.
Mówi szeptem.
Noc podnosi wież odrobinę nad ziemię.
Jeśli zaśniesz, wszystko zostanie.

Tryptyk wyprawowy – Hotel Przedwiośnie / Everest

I – Hotel Przedwiośnie, Masłów

Hotel stoi.
Nie przeszkadza.
Nie pyta o imię.
Pole podchodzi pod okno.
Patrzy.
Łóżko czeka.
Nie zaczyna snu.

Pozwala mu przyjść.
Klucz stygnie powoli.
Przedwiośnie zatrzymane
między oddech a decyzję.
Wieś milczy.
Wszystko jest wyraźne.

II – Z bazy pod Everestem, Mąchocice Kapitulne

Jesteśmy w bazie pod Everestem –
choć to tylko Hotel Przedwiośnie
w Mącholicach Kapitulnych.
Łóżka jak namioty szturmowe,
szafy jak lodowe seraki,
drzwi jak ostatnia brama przed ścianą –
wszystkie wyciągają po nas ręce,
chcą zatrzymać wyprawę.
Ale my się wyrrywamy.
Z czołówkami w oczach i mapą w kieszeni,
jakby to miał być atak szczytowy.
Na Wymyśloną – pierwszy obóz,
na Klonówkę – grań w chmurach wyobraźni,
do Ciekot – przez lodospad rozmów i śmiechu,
na Diabelską Skałę – ostatni próg pod niebem.
Łojimy te szczyty,
jakby każdy metr był wywalczony,
jakby Góry Świętokrzyskie

na chwilę udawały Himalaje.
Po wszystkim, w bazie,
siedzimy nad kubkiem herbaty –
jak nad najwyższą zdobyczą dnia.

Deszcz spada jak lawina,
wiatr tnąc twarz jak nóż,
zimno wdzierając się pod kurtkę, pod skórę, pod myśli,
idzie prosto do serca –
na moment naprawdę staje.

Nie ze strachu.

Nie z bólu.

Staje w zachwycie nad świętokrzyską ziemią,
nad ciemną świerczyną, mokrym kamieniem,
nad szlakiem prowadzącym uparcie w górę,
nad ciszą starszą niż wszystkie góry świata.

Łojymy te szczyty,
choć ręce drżą,
choć wiatr chce nas zepchnąć z marzeń,
choć deszcz zalewa oczy.

A jednak idziemy.

Bo tu, w Górach Świętokrzyskich,
nawet burza wie,
że spotkała ludzi,

którzy przyszli po coś więcej niż pogodę.
I gdy wracamy do bazy,
przemoczeni, wychłodzeni, zwycięscy,
unosimy w dłoniach kubek gorącej herbaty –
jak puchar zdobyty na dachu świata.

III – Powrót do bazy

Zmęczeni, przemoczeni, ale zwycięscy,
wracamy do bazy.

Deszcz cicho uderza w namioty,
wiatr rozsuwa mgłę nad polami.
Łóżka już stoją na swoim miejscu.
Nie pytają o imię, nie żądają niczego.
Kubki w dłoniach parują.

Herbata wypełnia ciszę.
Patrzymy na Góry Świętokrzyskie –
już nie Himalaje,
już nie lodospady rozmów,
już nie huragany oddechów.

Ale serce wciąż bije tak samo,
jakby każdy krok, każda wspinaczka,
była atakiem na własne ograniczenia.

Przedwiośnie nie odchodzi.
Zostaje razem z nami –
w oddechu wiatru,

w kropli deszczu,
w kubku herbaty.
I choć dzień się kończy,
wiemy, że jutro znowu ruszymy,
na własne, wymyślone szczyty.

W bazie jesteśmy pod Everestem

W bazie jesteśmy pod Everestem,
choć to jedynie hotel Przedwiośnie w Mąchocicach
Kapitulnych.
Łóżka stoją jak namioty szturmowe,
szafy jak lodowe seraki,
drzwi – ostatnia brama przed ścianą – wszystkie wyciągają
ręce,
chcą zatrzymać naszą wyprawę. Lecz my się wyrrywamy,
czołówki w oczach, mapa w kieszeni, na Wymyśloną –
pierwszy obóz,
na Klonówkę – grań w chmurach wyobraźni,
do Ciekot – przez lodospad rozmów i śmiechu,
na Diabelską Skałę – jak na ostatni próg.
Łojimy te szczyty,
każdy metr wywalczony,
Góry Świętokrzyskie chwilowo udają Himalaje.
A gdy wracamy do bazy,
zmęczeni, zwycięscy,

unosimy kubek gorącej herbaty
jak puchar zdobyty na dachu świata.

Na granicy lodu

Na granicy lodu, gdzie kończy się świat,
tam wiatr jak wspomnienie odchodzi od skał.
Gdzie cisza jest cięższa niż każdy oddech,
a niebo nie pyta, czy wrócisz — czy zechcesz.

Dwóch ludzi szło wyżej, niż sięgał już lęk,
w bieli bez końca, w lodowy krąg pięk..
Hillary, Tenzing — w milczeniu i trudzie,
tam, gdzie już rzadko bywają tam ludzie.

O 29 maja świat wstrzymał swój rytm,
bo szczyt, co od wieków był tylko snem,
po raz pierwszy przyjął oddech i ślad,
jakby powiedział: „człowieku — to twój świat”.

Zostawili drobiazg: modlitwę, dar, znak,
i krótki moment, co znika jak ptak.
Bo na tej wysokości, gdzie kończy się czas,
sukces jest kruchy jak pierwszy blask.

A Everest milczy — ogromny, ten sam,
jakby wciąż pytał, kto naprawdę tam stanął sam.
I tylko wiatr niesie przez śnieżny bezkres
historię, co wciąż nie ma końca — lecz sens

I może dlatego ten biały, lodowy szlak
nie jest tylko góry surowy i twardy znak.
Bo każdy, kto idzie tam w ciszy i śniegu,
spotyka samego siebie na skraju oddechu.

Wieczorem powrót — dym i gwiazdy,
zmęczony wagon, cichy gwar,
i każdy wiedział, choć nie mówił,
że las zostawił w sercu ślad.

Nota krytycznoliteracka o poezji Andrzeja Osiaka

Poezja Andrzeja Osiaka sytuuje się w nurcie współczesnej liryki refleksyjnej, w której prostota wypowiedzi łączy się z wyraźnym podtekstem filozoficznym. Wiersze te operują językiem oszczędnym i przejrzystym, unikając nadmiaru metafor oraz rozbudowanych konstrukcji stylistycznych.

Zamiast tego autor koncentruje się na krótkiej, sugestywnej obserwacji rzeczywistości i na wewnętrznym doświadczeniu człowieka. Taka strategia poetycka sprawia, że jego utwory nabierają charakteru refleksyjnych notatek z życia – chwil zatrzymania w świecie zdominowanym przez pośpiech i nadmiar bodźców.

Charakterystycznym elementem tej twórczości jest obecność ciszy oraz motywów wyciszenia.

Cisza w wierszach Osiaka nie jest jedynie brakiem dźwięku, lecz stanowi przestrzeń refleksji i duchowego skupienia. Obok ciszy często pojawiają się obrazy natury – poranek, światło, mgła, noc czy spokojny krajobraz – które stają się symbolicznym tłem dla rozważań nad ludzkim losem.

Przyroda w tej poezji pełni rolę dyskretnego przewodnika po świecie wartości i doświadczeń

.W twórczości Osiaka można dostrzec pewne powinowactwa z tradycją polskiej poezji refleksyjnej.

Moralny ton oraz skłonność do filozoficznej zadumy przywodzą na myśl twórczość Cypriana Kamila Norwida, który również traktował poezję jako przestrzeń namysłu nad sensem życia i miejscem człowieka w świecie.

Z kolei oszczędność formy, skrótowość wypowiedzi oraz świadome ograniczenie środków stylistycznych mogą budzić skojarzenia z poetyką Tadeusza Różewicza.

Nie oznacza to jednak bezpośredniego naśladownictwa – raczej wskazuje na pewną wspólnotę wrażliwości literackiej.

Niekiedy w wierszach Osiaka pojawia się także subtelny, liryczny sposób mówienia o uczuciach, który można zestawić z wrażliwością Haliny Poświatowskiej. W przeciwieństwie jednak do intensywnej emocjonalności charakterystycznej dla tej poetki, emocje u Osiaka są zazwyczaj wyciszone i zdystansowane.

Autor unika ekspresyjnych wyznań, preferując ton spokojny i medytacyjny, w którym uczucia ujawniają się raczej poprzez obraz i nastrój niż poprzez bezpośrednią deklarację.

Istotną cechą tej poezji jest dążenie do syntetyczności. Wiersze często przybierają formę krótkich, niemal aforystycznych wypowiedzi. Sens rodzi się tu nie tylko ze słów, lecz również z przestrzeni między nimi – z napięcia między tym, co wypowiedziane, a tym, co pozostaje przemilczane.

Takie rozwiązanie formalne sprawia, że czytelnik zostaje zaproszony do współtworzenia znaczenia utworu, do własnej refleksji i interpretacji.

W szerszym kontekście literackim twórczość ta wpisuje się w nurt współczesnej poezji medytacyjnej. Jest to poezja skupiona, wyciszona, skierowana ku wnętrzu człowieka. Nie opiera się ona na rozbudowanej narracji ani na gwałtownych zwrotach emocjonalnych, lecz na uważnym przyglądaniu się rzeczywistości i próbie uchwycenia sensu ukrytego w prostych doświadczeniach codzienności.

Tematyka utworów Osiaka koncentruje się wokół kilku powracających motywów. Najważniejszym z nich jest poszukiwanie spokoju i równowagi w świecie pełnym hałasu i niepokoju. Obok tego pojawiają się refleksje nad przemijaniem, nad relacją człowieka z naturą oraz nad potrzebą zatrzymania się w codziennym biegu życia.

Wiersze często przybierają formę krótkiej medytacji lub lirycznej notatki, w której zwykła chwila zostaje przekształcona w moment głębszego namysłu.

Ważną rolę odgrywa również obrazowanie oparte na prostych elementach świata przyrody. Motywy takie jak światło, mgła, noc czy cisza nie są jedynie dekoracją, lecz pełnią funkcję symboliczną.

Dzięki nim wiersze zyskują atmosferę spokoju i kontemplacji, a jednocześnie otwierają przestrzeń interpretacji dla czytelnika.

Bliskość z poezją współczesną: jeśli spojrzeć na współczesną literaturę polską, twórczość Osiaka można zestawić z nurtem poezji refleksyjnej i minimalistycznej reprezentowanym przez takich poetów jak Adam Zagajewski, Jan Polkowski czy Wojciech Kass. U tych autorów również pojawia się ton spokojnej refleksji nad światem, nad pamięcią, naturą i duchowym doświadczeniem człowieka.

W niektórych aspektach można także odnaleźć pewne pokrewieństwo z twórczością Julii Hartwig, zwłaszcza w sposobie obserwowania codzienności i w przekonaniu, że poezja może rodzić się z uważnego patrzenia na pozornie zwykłe chwile.

Podobnie jak u niej, także u Osiaka ważna jest
klarowność języka i skupienie na obrazie.
Oczywiście zestawienia te mają charakter orientacyjny i wskazują raczej na podobieństwo
wrażliwości niż na bezpośrednie wpływy.

Poezja Osiaka pozostaje twórczością indywidualną, która
buduje własny ton poprzez konsekwentne dążenie do prostoty i skupienia.
W rezultacie poezja Andrzeja Osiaka jawi się jako twórczość kameralna, kontemplacyjna i
skupiona. Jej wartość nie polega na formalnym eksperymencie ani na spektakularnej
innowacyjności, lecz na konsekwentnym ograniczeniu środków wyrazu oraz na zdolności
kondensowania myśli i nastroju w krótkiej wypowiedzi poetyckiej.

W świecie współczesnej literatury, często zdominowanym przez stylistyczny nadmiar i
intensywną ekspresję, poezja ta
proponuje inną drogę – drogę ciszy, refleksji i spokojnego dialogu z czytelnikiem.

Dzięki temu wiersze Osiaka tworzą przestrzeń, w której czytelnik może na chwilę
zatrzymać się wobec świata i własnego doświadczenia. Ich siła tkwi w prostocie, w
uważności na drobne szczegóły codzienności oraz w przekonaniu, że nawet najcichsze
słowo może stać się początkiem głębokiej refleksji.

Maria Nowina krytyk literacki

Recenzja tomu poetyckiego „Na granicy lodu”

Andrzej Osiak – „Na granicy lodu”

Poezja drogi, pamięci i uważności

Tom poetycki „Na granicy lodu” Andrzeja Osiaka wyrasta z doświadczenia drogi – zarówno
tej rzeczywistej, prowadzącej przez Góry Świętokrzyskie, leśne ścieżki, schroniska i miejsca
spotkań, jak i tej wewnętrznej, związanej z pamięcią, przemijaniem, relacjami z drugim
człowiekiem oraz poszukiwaniem własnego miejsca w świecie.

Nie jest to jednak wyłącznie książka o górach. Spotykają się w niej trzy zasadnicze
przestrzenie: góry, codzienność i refleksja nad ludzkim doświadczeniem. Obok krótkich,
oszczędnych liryków pojawiają się poematy, pieśni, utwory rytmiczne, teksty
humorystyczne, a nawet formy zbliżone do poetyckiego reportażu. Ta różnorodność
odpowiada różnorodności samego życia, w którym chwile zadumy sąsiadują z radością,
humorem i zwyczajnością.

Poezja drogi

Już otwierający tom „Wiersz zamiast wstępu” określa charakter całej książki. Autor nie tworzy manifestu poetyckiego ani nie narzuca czytelnikowi gotowych odpowiedzi. Zaprasza raczej do wspólnej drogi. Poezja staje się formą obecności – próbą zatrzymania chwili, która za moment może bezpowrotnie zniknąć.

Najważniejszym motywem tomu jest właśnie droga. Nie oznacza ona jedynie przemieszczania się pomiędzy kolejnymi miejscami. Każdy krok prowadzi również ku poznaniu siebie. Wędrówka staje się sposobem obserwowania świata, spotkania z drugim człowiekiem i konfrontacji z własnymi myślami.

W poezji Osiaka nie chodzi więc przede wszystkim o osiągnięcie celu. Ważniejsze okazuje się samo doświadczenie drogi – zmęczenie, cisza, rozmowa, krajobraz, wspólne ognisko i pamięć o tym, co wydarzyło się po drodze.

Góry Świętokrzyskie jako przestrzeń duchowa

Najbardziej rozpoznawalnym bohaterem tomu pozostają Góry Świętokrzyskie. Nie są jednak przedstawione jako turystyczna atrakcja, miejsce sportowego wyczynu czy zdobywania rekordów. Autor patrzy na nie z perspektywy człowieka, który zna ich szlaki i wielokrotnie do nich powraca.

W utworach takich jak „Stary czekan”, „Przed świtem na Kopieńcu”, „Świt w Górach Świętokrzyskich”, „Puste góry”, „Góry Świętokrzyskie nie są wysokie” czy „Na szlaku zimy” krajobraz nie pełni funkcji dekoracji. Staje się równorzędnym uczestnikiem poetyckiej rozmowy.

Osiak pokazuje, że wielkość doświadczenia nie zależy od wysokości zdobywanego szczytu. Góry Świętokrzyskie, pozornie skromniejsze od wysokich pasm, uczą cierpliwości, pokory i uważności. Nie oferują łatwych odpowiedzi, lecz tworzą przestrzeń, w której człowiek może zadawać własne pytania.

Zamiast opowieści o wyczynie otrzymujemy więc poezję spotkania z miejscem, ciszą i własnym wnętrzem. Góry stają się metaforą ludzkiego losu, wytrwałości, pamięci i wewnętrznego dojrzewania.

Zwyczajne rzeczy jako nośniki pamięci

Jedną z największych wartości tomu jest umiejętność wydobywania znaczenia z rzeczy pozornie prostych.

Stary czekan, autobus do Mąchocic, kubek herbaty, ognisko, ślad na śniegu czy oscypek dzielony podczas wyprawy przestają być zwykłymi elementami codzienności. W poezji Osiaka stają się znakami pamięci. Przechowują historie ludzi, miejsc i chwil.

To właśnie konkretny jest często największą siłą tych wierszy. Autor nie musi długo objaśniać znaczenia obrazu – wystarczy przedmiot, miejsce lub sytuacja, aby uruchomić wspomnienie i refleksję. W tym sensie poezja Osiaka wyrasta z obserwacji, a nie z samej deklaracji.

Stary czekan może przechowywać historię dawnych wypraw. Autobus może stać się początkiem drogi i wspomnienia. Ognisko jest miejscem spotkania. Nawet humorystyczny motyw wędrującego oscypka może nabrać znaczenia jako znak wspólnoty, dzielenia się i prostych radości.

Autor przypomina tym samym, że poezja nie musi rodzić się z wydarzeń niezwykłych. Czasem wystarczy uważnie spojrzeć na to, co znajduje się obok.

Wspólnota drogi

Ważnym nurtem tomu jest również motyw wspólnego wędrowania. Utwory inspirowane działalnością Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, zimowymi przejściami, ogniskami i spotkaniami pokazują, że góry nie muszą być doświadczeniem samotności.

Wiersze takie jak „Na szlaku zimy”, „Gdy zima Świętokrzyskie bieli”, „Ognisko i kielbaska pasji” czy „Wersja rytmiczna do wspólnego zdjęcia” przypominają, że wartość wyprawy nie wynika wyłącznie z pokonanego dystansu.

Najważniejsze pozostają ludzie, rozmowy, wspólne zmęczenie, śmiech, ogień i pamięć.

Droga staje się więc językiem przyjaźni i wspólnoty.

Człowiek wobec własnych doświadczeń

„Na granicy lodu” nie ogranicza się jednak do poezji górskiej i drogi. Obok niej pojawia się liryka osobista – dotycząca miłości, tęsknoty, rozczarowania, samotności i utraty.

Wiersze takie jak „Jesteś nade mną”, „Lubię patrzeć, jak śpisz”, „Byłaś moim snem” czy „Zrobiłaś mi tyle złego” pokazują bardziej intymną stronę twórczości autora.

Ich siłą jest brak przesadnego patosu. Osiak nie próbuje budować melodramatu. Raczej zapisuje doświadczenie człowieka, który przeżył bliskość, stratę czy rozczarowanie i próbuje je zrozumieć. Dzięki temu osobiste doświadczenie może stać się doświadczeniem

uniwersalnym – czytelnik nie musi znać historii autora, aby odnaleźć w tych wierszach własne emocje.

Język – prostota i niedopowiedzenie

Charakterystyczną cechą poezji Osiaka jest prostota języka. Nie oznacza ona ubóstwa środków artystycznych, lecz świadomy wybór.

Autor często rezygnuje z nadmiaru metafor i rozbudowanych konstrukcji stylistycznych na rzecz pojedynczego obrazu, szczegółu, rytmu, ciszy i niedopowiedzenia. W wielu utworach pojawia się poetyckie zatrzymanie – zapis jednego spojrzenia, jednego oddechu, jednej chwili.

Tam, gdzie poeta zachowuje tę dyscyplinę, jego wiersze osiągają największą siłę wyrazu. Obraz pozostaje na pierwszym planie, a czytelnik otrzymuje przestrzeń do własnej interpretacji.

Jednocześnie Osiak nie ogranicza się do jednego sposobu wypowiedzi. Obok liryków refleksyjnych pojawiają się pieśni, teksty rytmiczne, humorystyczne i stylizowane. Ta różnorodność pokazuje, że autor pozwala sobie zarówno na skupienie, jak i na dystans.

Tytuł jako metafora

Jednym z najciekawszych elementów książki jest jej tytuł – „Na granicy lodu”.

Nie odnosi się on wyłącznie do zimowego krajobrazu. Lód staje się symbolem granicy: pomiędzy bezpieczeństwem a ryzykiem, ruchem a zatrzymaniem, pamięcią a zapomnieniem, bliskością a samotnością.

Człowiek również porusza się przez życie po własnej „granicy lodu”. Podejmuje decyzje, ryzykuje, doświadcza przemijania, straty i nadziei. Każdy kolejny krok może prowadzić dalej, ale może też zmienić wszystko.

Tytuł można odczytać jeszcze inaczej – jako metaforę samego aktu pisania. Wiersz powstaje na granicy między doświadczeniem a pamięcią. Chwila, która nie zostanie zapisana, może zniknąć jak ślad na topniejącym śniegu.

Poezja staje się zatem próbą ocalenia tego, co nietrwałe.

„365 okruszków dnia”

„Na granicy lodu” należy również czytać w kontekście większego projektu poetyckiego Andrzeja Osiaka – „365 okruszków dnia”.

Dzięki temu tom przestaje być jedynie zbiorem pojedynczych utworów. Poszczególne wiersze można czytać osobno, ale razem tworzą rodzaj poetyckiego dziennika obecności.

Nie jest to kronika wydarzeń, lecz kronika przeżyć.

Każdy wiersz zachowuje jakiś fragment rzeczywistości: miejsce, spotkanie, obraz, emocję, rozmowę czy chwilę ciszy. Z tych niewielkich elementów powstaje większy obraz życia.

To jedna z najważniejszych idei tej poezji: życie nie składa się wyłącznie z wydarzeń przełomowych. O wiele częściej budują je drobne chwile, które łatwo przeoczyć, a które dopiero dzięki uważności mogą odkryć swoje znaczenie.

Miejsce tomu i jego ograniczenia

„Na granicy lodu” nie jest książką podporządkowaną aktualnym modom literackim ani formalnym eksperymentom. Jej siła znajduje się gdzie indziej – w konsekwentnym rozwijaniu własnego sposobu patrzenia na świat.

Tom nie jest jednak całkowicie równy. Obok liryków o dużej sile artystycznej pojawiają się teksty okazjonalne, humorystyczne czy piosenkowe, reprezentujące nieco inną estetykę.

Powoduje to różnicowanie poziomu i nastroju poszczególnych części książki.

Widać to szczególnie tam, gdzie poezja odchodzi od konkretnego obrazu i zaczyna dominować komentarz, publicystyczność lub bezpośrednia refleksja. W tych miejscach tekst traci część swojej wcześniejszej siły, ponieważ zamiast pozwolić obrazowi przemówić samemu, zaczyna objaśniać własną myśl.

Nie jest to jednak wada dyskwalifikująca cały tom. Raczej świadczy o tym, że „Na granicy lodu” jest zapisem rzeczywistej twórczej drogi autora, a nie książką zbudowaną według jednego, rygorystycznego wzorca. Obok tekstów bardzo skupionych znajdują się utwory lżejsze, bardziej okazjonalne i eksperymentalne.

Najważniejsze, że mimo tych różnic powracające motywy – droga, pamięć, przemijanie, góry, wspólnota i uważność – tworzą rozpoznawalny świat tomu.

Podsumowanie

„Na granicy lodu” jest przede wszystkim książką o człowieku pozostającym w drodze.

Góry stają się tutaj przestrzenią wewnętrznego dojrzewania, droga – metaforą życia, przedmioty – nośnikami pamięci, a poezja – próbą ocalenia chwil, które z natury są nietrwałe.

Andrzej Osiak nie próbuje stworzyć sztucznej legendy ani imponować formalnym eksperymentem. Pozostaje blisko własnego doświadczenia. Dzięki temu jego poezja jest wiarygodna.

Jej największą wartością jest autentyczność i uważność. Autor potrafi dostrzec poezję w porannym świetle, skrzypiącym śniegu, wspólnym ognisku, rozmowie, samotnym marszu czy krótkim spotkaniu z drugim człowiekiem.

Dlatego „Na granicy lodu” nie jest wyłącznie tomem o górach i podróżach. Jest książką o pamięci, przemijaniu, relacjach, samotności, wspólnocie i potrzebie zachowania tego, co ulotne.

To poezja spokojna, osobista i różnorodna. Nie domaga się uwagi gwałtownym gestem. Zaprasza raczej, by zatrzymać się na chwilę i spojrzeć uważniej.

Jej największą siłą nie jest pojedynczy efektowny gest, lecz konsekwentne przekonanie, że zwyczajna chwila może zostać ocalona przez słowo. Że droga nie musi prowadzić do wielkiego odkrycia, aby mieć znaczenie. I że pamięć o człowieku, miejscu czy krótkim spotkaniu może stać się wartością samą w sobie.

„Na granicy lodu” pozostawia więc czytelnika z prostą, ale mocną myślą:

***Maria Nowina
krytyk literacki***

© Andrzej Osiak, 2026

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Autor: Andrzej Osiak

Your ORCID iD: 0009-0006-3386-6865

Wydawca: Andrzej Osiak

Kontakt: andrzej.osiak.poezja@e.pl

radioturnia@e.pl

strona internetowa: <https://andrzej.netgaleria.pl>

ISBN: **978-83-981639-0-3**



Poezja Andrzeja Osiaka jest zapisem uważności — spotkania człowieka z naturą, czasem i własnym doświadczeniem.

Wiersze prowadzą przez górskie krajobrazy, ciszę, światło, codzienne chwile oraz pytania o przemijanie. Autor łączy prostotę obrazu z refleksją filozoficzną, czerpiąc inspirację zarówno z tradycji literackiej, jak i z myśli stoickiej.

To poezja drogi — od zachwytu nad światem do wewnętrznego poszukiwania sensu. Krótkie formy, oszczędny język oraz znaczenia budowane obrazem i pauzą pozostawiają czytelnikowi przestrzeń do własnej interpretacji.

„365 okrucichów dnia” to zapis chwil, które mogłyby zniknąć, gdyby nie zostały zatrzymane słowem.